

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 55

Nr. 13. | Warszawa, 18 czerwca (1 lipca) 1901 r. | Rok III.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.



NIEPEWNOŚĆ.

Wyprawa myśliwska do Sudanu

przez

Jana Sztolcmana.

(Dalszy ciąg)

Żadne pióro nie jest w stanie opisać uczucia radości, jakie ogarnia myśliwego na widok wywracającej się podobnej sztuki. Obok nasyconej żyłki myśliwskiej, wchodzi tu w grę uczucie niewypowiedzianego zadowolenia, żeśmy siebie i innych wybawili od groźnego niebezpieczeństwa. Nie zapomnę też nigdy w życiu radości, jaką mi ten strzał sprawił.

Nie bacząc na ostrzeżenia Hrabiego, rzuciłem się do lwa, którego ciałem wstrząsały przedśmiertne odruchy. W jednej chwili znalazło się koło nas ze dwudziestu krajowców, w części okolicznych mieszkańców, a w części ludzi z naszej karawany, którzy widocznie szli naszemi śladami w pewnej odległości. Potrząsając swemi włóczniami lub mieczami, wydawali głośne okrzyki na naszą cześć, a jednocześnie wymyślali lwu, gdyż jest zwyczajem wszystkich prawie ludów Afryki lżyć tego groźnego nieprzyjaciela, gdy od celnej kuli zginie. Jeden nawet z okolicznych mieszkańców, nie bacząc na nas wszystkich, wypalił ze swego remingtona w zad nieżywego już drapieżnika, przyczem darł się w niebogłosy.

Zabita sztuka była to dobrze wyrośnięta lwica, mierząca 8 stóp i 4 cale, to jest średnią miarę dorosłej samicy. Okazało się, że z dwóch pierwszych naszych strzałów dostała ona tylko jedną kulę w brzuch, tuż za żebrami i nieco wysoką. Ostatnia moja kula trafiła ją pod prawe oko i wyszła tuż przy lewem uchu, druzgocząc zupełnie kości czołowe i ciemieniowe tak, że z całej czaszki można było tylko obie szczęki wraz z zębami zachować. Ponieważ trudno było sprawdzić, do kogo należała pierwsza kula, więc sztuka ta uznaną została za spółkową.

Oglądanie lwicy i sprawdzanie kul zajęło nam kilka minut czasu. Idris wtedy zwrócił nam uwagę, że należy spróbować, czy nam się nie uda i lwa od pary zabić, gdyż niewątpliwie stoi on gdzieś w gąszczu niedaleko. Stary więc poprowadził nas dżunglą. Szliśmy w tym samym, co i poprzednio porządku, pilnie wypatrując wśród gąszczu. Lew jednak ustępował widocznie przed nami, gdyż mimo najbaczniejszej uwagi, spotkać się z nim nie mogliśmy. Zrobiwszy przeto obszerny krąg, wróciliśmy do zabitej lwicy. Nasi Arabowie z trudnością wynieśli ją na łąkę, gdzie nastąpiło fotografowanie zarówno jej, jak i główniejszych aktorów polowania.

Było już wtedy koło 11-ej, więc Hrabia rozkazał cofnąć karawanę o pół wiorsty, gdzie grupa wielkich drzew zapewniała nam doskonały cień na postój południowy i tu rozbiliśmy obóz. Kucharz Bohos wziął się do sporządzenia śniadania, a tymczasem jakich dziesięciu Arabów pod moją dyrekcyą obciągało skórę z lwicy. Była tak tłusta, jak karmny wieprzak, nic więc dziwnego, że Arabom szła ślinka do ust na widok białego i tłustego mięsa. Rezultat był taki, że ledwie skórę obciągnięto, już mięsa śladu nie zostało, tak je szybko rozchwytali między sobą i na surowo zjedli nasi ludzie i okoliczni mieszkańcy; przyczem, jak zwykle w takich razach, przyszło do ostrej kłótni, która się omal bójką na noże nie zakończyła.

Czytałem wielokrotnie, że mięso lwa jest bardzo smaczne. W samej rzeczy, pozór ma nader apetyczny; jest białe i tłuste. Brała mnie też ochota spróbować go i powiedziałem Bohosowi, aby mi dobry kawałek wyciął i byfsztyk na śniadanie sporządził. Gdy jednak podczas śniadania służący przyniósł mi tę niezwykłą potrawę, przyszła mi refleksya, czy przypadkiem zabita lwica nie ma na sumieniu jakiej ludzkiej ofiary i w jednej chwili, doznawszy uczucia wstrętu, mej próby zaniechałem. Mniej wybredni byli nasi kairscy służący, którzy byfsztyk z lwa z apetytem spożyli, smak jego bardzo chwaląc.

Zwrócę jeszcze uwagę na ciekawy zbieg okoliczności. Lwica nasza padła d. 14 lutego.

Otóż przed 5-ciu laty co do dnia, t. j. 14 lutego 1898 r. hr. Potocki postrzelił w Somalilandzie lwa, za którym myśliwi poszli; lecz wówczas, gdyby nie poświęcenie się Alikara i nie celny strzał hr. Tomasza Zamoyskiego, cała sprawa mogła się była skończyć bardzo tragicznie.

Istnieje wszelkie prawdopodobieństwo, że te dwa lwy, które naszą karawanę zatrzymały i z których zabiliśmy samicę, były to te same, które mnie poprzedniej nocy w zeribie trzymały w oblężeniu. Odległość między obu miejscowościami, gdzie opowiedziane wypadki zaszły, wynosi nie więcej nad 5 do 6 kilometrów, co dla lwa, włóczącego się nieustannie, stanowi nic nieznaczącą przestrzeń. Potwierdza to zdanie Mohameda, że do mej zeriby przyszły dwa lwy, z których jeden porwał zabite przez panterę koźlę, drugi (zapewne lwica) oczekiwał w pewnej odległości na zdobycz.

Jeszczem nie skończył ałunować skóry zabitej lwicy, gdy ludzie nasi już ładowali paki na wielbłądy, a o godzinie $1\frac{1}{2}$ po południu wszystko było gotowe do wymarszu. Mimo dotkliwego skwaru, ruszyliśmy raźno, zadowoleni z tak szczęśliwie zakończonego polowania. Głównym też tematem rozmowy naszej podczas marszu były wypadki ubiegłego ranka.

O godzinie $4\frac{1}{2}$ stanęliśmy na nocleg w miejscowości, zwanej Tibna, położonej nad brzegiem łąki wśród pięknej, dostatecznie cienistej dżungli. Łąka owa jest

Polowanie na kozice

W KARPATACH TRANSYLWAŃSKICH.

Dnia 20 sierpnia 1894 roku—pisze lekarz sztabowy, dr. J. N.—odwiedził mnie mój dobry znajomy i przyjaciel T., proponując, czybym nie zechciał uczestniczyć w polowaniu na kozice w okolicy Fogaras. Jako pasyonowany myśliwy, nie dałem się długo prosić. Rozstaliśmy się, obiecując sobie spotkać się na drugi dzień rano na dworcu centralnym. Tego samego dnia udałem się do pułkownika, prosząc o pięciodniowy urlop, który mi chętnie udzielono.

Począłem się pakować. Mój przyjaciel radził mi zabrać futro i ciepłe ubranie. Nie chciało mi się w głowie pomieścić, dlaczego w tej kanikularnej gorączce mam brać futro? Jednakże, myślę sobie, coś w tem jest, bo p. T. już nieraz w tamtych górach polował. Nie wiedziałem, czy zabrać dubeltówkę, dryling czy też Winchester-Colt. Zdecydowałem się na tę ostatnią broń, czego później bardzo żałowałem.

Dnia 21 sierpnia spotkaliśmy się na dworcu; około południa stanęliśmy na stacyi Hamona, gdzie na nas czekały podwody. O godzinie piątej przybyliśmy przy najpiękniejszej pogodzie do Fogaras. Przebrawszy się, złożyliśmy wizytę panu S., nadleśnemu rewirów, gdzie mieliśmy zamiar polować. Przyjął nas bardzo serdecznie, bo każdy Węgier jest gościnny i obiecał towarzyszyć nam w wycieczce.

Następnego dnia udaliśmy się wózkiem do podnóża gór Fogaras. Pokrzepiwszy się dobrem śniadaniem, ruszyliśmy w góry. Mieliśmy dziesięciu naganiaczy, samych Rumunów. Rumun jest wzrostu średniego, ale silny i wytrzymały; przekonaliśmy się o tem podczas naszej wycieczki.

Wspinanie się na góry trwało z odpoczynkami 5 godzin. Rumuni przesadzali się wówczas w grzecznościach; rozpościerali dla nas swe szuby (halina), częstowali wódką „rakia" i t. d.

Przenocowaliśmy w szałasie, których w górach napotyka się kilka, dla wygody turystów postawionych. Wkrótce ułożyliśmy się do snu około ogniska, posiliwszy się należycie. Szałas był tak mały, że tylko trzech ludzi pomieścić się w nim mogło; jako materac służyły

przedłużeniem starego koryta Nilu, o którem już tylokrotnie wspominałem. Zjawiło się kilku okolicznych Arabów, od których Hrabia zasięgnął języka co do miejscowej zwierzyny.

Z opowiadania ich okazało się, że lwy stale okolice te uczęszczają, słonie do wodopojów przychodzą, a hypopotamy z rzeki na łąkę wyłażą. Tylko co do bawołów wiadomości były niepomyślne, a mówiłem już poprzednio, że głównym celem naszej wyprawy były właśnie te straszne przeżuwające, gdyż hr. Potocki nigdy się jeszcze z niemi nie spotkał. Mimo więc dobrych widoków polowań Hrabia zdecydował się następnego ranka ruszyć dalej, by nie dać się ubiedz ks. Arenbergowi, goniącemu nas jak czarna mara.

W bliskości naszego obozu znajdowała się wśród dżungli ciekawa osada Arabów, żyjących wyłącznie z łowiectwa i rybołóstwa. Kilka szałasów z trawy dżunglowej, otoczonych wspólną zeribą, służyło tym dzikusom za siedzibę. Mnóstwo suszonego lub suszącego się mięsa, skóry i rogi antylop—świadczyły dosadnie o rodzaju procederu, jakim się mieszkańcy tutejsi zajmowali. W braku broni palnej, której użycie jest im wzbronione od czasów Mahdiego, ludzie ci zaspakajają swe potrzeby przy pomocy wnyków, rozstawianych po ziemi w ogromnych ilościach. Są to proste pętle ze sznurka, przymocowane do pieńka lub krzaka. Antylopa musi weń stąpnąć nogą, aby się pętla zaciągnęła.

Na uwagę, zrobioną przez Hrabiego, że tego rodzaju polowanie jest surowo wzbronione, łowcy wyrazili głęboką skruchę i chęć poprawy, co nie wyklucza bynajmniej, że po naszym odjeździe w dalszym ciągu ten rodzaj łowiectwa praktykowali.

Noc była cicha, gwiaździsta, jak wszystkie noce w Sudanie w suchej porze roku. Gdym się nad rankiem obudził, słychać było od strony łąki chlapanie wody i sapanie potężnych hypopotamów. W blizkości obozu rozlegało się od czasu do czasu nizkie, zwykle potrójne ryknięcie pantery, które hr. Potocki trafnie porównywa do głosu tępej piły. W obozie już się ruch zaczynał, lecz nie słychać jeszcze było głosu Hrabiego, który nas zwykle ze snu budził. Owinąłem się więc w kołdrę, bo chłód ranny dreszczem ciało przejmował i zasnąłem powtórnie.

O 5-ej rano wstaliśmy, a w godzinę potem wyruszyliśmy z obozu w zwykłym porządku. Zrobiwszy zaledwie kilkaset kroków spostrzegliśmy nad błotkiem na brzegu łąki przechadzające się dwa żórawie czubate (*Balearica pavonina*), a obok nich parę olbrzymich bocianów (*Ephippiorhynchus senegalensis*). Jak jedne, tak drugie nie zdawały się zwracać na nas zbytniej uwagi, można więc było zaryzykować podchodzenie. Wziąłem śrótówkę, a nabiwszy ją grubym śrótem (3 zera), podszedłem ku nim z palcem na cynglu. Wybór był trudny, gdyż zarówno żóraw, jak i bocian stanowił cenny nabytek dla naszej kolekcyi, a okazya strzału tak w jednym, jak w drugim wypadku dość rzadko się zdarzała. Namyśliłem się jednak strzelać do żórawia, którego hr. Potocki pragnął mieć w swej kolekcyi trofeów. Gdym podszedł na 80 kroków, ptaki zerwały się. Szybko wziąłem na cel jednego z żórawi, który padł ze strzaskanem skrzydłem. Uśmierciwszy go, włożyliśmy ostrożnie do sakwy na wielbłądzie i ruszyliśmy dalej.

Zaraz nieco dalej spotkaliśmy świeże (z poprzedniej nocy) tropy lwa. Widocznie włóczył się w blizkości obozu, tylko wbrew zwyczajowi, nie dał nam znać o sobie swym potężnym rykiem. Dalej znów wpadliśmy na ślady słoni z dnia poprzedniego. Grunt w dżungli jest twardy, lecz pokryty cienką warstwą drobniutkiego pyłu. Na takim terenie trop słonia wygląda jak delikatny odcisk dużego kręga, poprzecinanego drobnemi żyłkami, jakie chropowata podeszwa zwierza na piasku wytłacza. Obok tych tropów widoczne były wszędzie olbrzymie kupy pomiotu, które, jak słusznie Edward Foa utrzymuje, przypominają kształtem kał koński, z tą tylko różnicą, że każda oddzielna kula jest wielkości głowy rocznego dziecka. Wreszcie o przejściu słoni świadczyły tu i owdzie spotykane drzewa i drzewka, złamane w blizkości podstawy, lub z korzeniem wyrwane i nachylone.

Trudno jest zrozumieć, w jakim celu słonie wywracają drzewa na swej drodze. Gdyby im chodziło o dostanie się do górnych, zatem delikatniejszych gałązek, to przy ich wyniosłym wzroście, a przy małej stosunkowo wysokości drzew dżunglowych mogłyby to łatwo uczynić, sięgając wprost trąbą do czubka drzewa. Przypuszczać więc jedynie można, że czynią to ze swawoli, aby siłę swą nieporównaną pokazać. Słoń opiera się podobno czołem o pień drzewa, a następnie odpycha się nogami, aż póki pnia nie złamie, lub go z korzeniem nie wyrwie.

Pokazywano też nam inne jeszcze ślady słoni. Po za Tibną zaczęliśmy spotykać pierwsze baobaby (*Adansonia*), które tem są w świecie roślinnym, czem słonie w świecie zwierzęcym. Olbrzymy te posiadają pień chropowaty, pokryty miękką korą barwy zielonawo-szarej. Rzadko kiedy pień jest okrągły, lecz raczej graniasty, najczęściej o czterech względnie płaskich ścianach. Średnica pnia dochodzi niekiedy bajecznych rozmiarów (4 do 5 metrów, a według d'Orbigny'ego—25 stóp, czyli 12½ łokci). Baobaby nad Nilem Błękitnym posiadają koronę dość ubogą i w porze suchej zupełnie liści pozbawioną. Wielokrotnie łowcy nasi pokazywali nam w dalszej naszej podróży olbrzymie szramy i głębokie dziury, wybite kłami słoni na pniach baobabów, a których powstanie tylko swawolą, a może niezwykłem rozjątrzeniem zwierząt, wytłómaczyć sobie można.

(D. c. n).

---

nam gałęzie jedliny—co prawda, niezbyt wygodne posłanie! Dla zimna nie rozbieraliśmy się wcale, bo wiatr dął przez wszystkie szpary szałasu i ziębił moją łysinę. Moi towarzysze, doświadczeni w poprzednich wycieczkach, byli zaopatrzeni w czepki. Niedługo rozległo się ich chrapanie wreszcie i ja z trudem zasnąłem.

Na drugi dzień ruszyliśmy wczesnym rankiem dalej w drogę na małych górskich koniach; ten sposób podróżowania nie okazał się jednak praktycznym, bo konie na kamienistym gruncie potykały się tak, że kilku z nas mimowoli przewróciło koziołka. Po takiem intermezzo puściliśmy się w dalszą drogę piechotą. Góry, gdzie mieliśmy polować, biegły z północy na południe ze wschodnim i zachodnim stokiem.

My, strzelcy, udaliśmy się na wschodni stok, na zachodni zaś — naganiacze. Drapaliśmy się pod górę z jakie dwie godziny, nim doszliśmy do szczytu. Już po drodze widzieliśmy na kilkaset kroków dwie kozice, które, ujrzawszy nas, uciekły do lasu. Wspinanie się pod górę było wprawdzie mozolne, ale, kto chce użyć przyjemności, musi się liczyć ze wszelkiemi okolicznościami. Szliśmy np. po brzegu ściany prostopadłej, głębokiej na 100 stóp. Nie każdy z turystów odważyłby się przebyć to miejsce; my jednakże, mając nerwy zahartowane, przeszliśmy szczęśliwie.

Dążąc dalej, doszliśmy po półgodzinnym marszu do miejsca, gdzie obraliśmy stanowiska, jeden od drugiego na 200 kroków. Ja się umieściłem za skałą, czekając, co będzie dalej. Z moich dumań zbudził mnie strzał nadleśnego. Skoczyłem na równe nogi i ujrzałem stado kozic pod wodzą kapitalnego, niemal czarnego kozła. Posłałem mu dwie kule. Po drugiej z Winchester-Colt padł w ogniu, podniósł się jednakże i zniknął mi z oczu. Tyle tylko mogłem dojrzeć, że chromał na lewą nogę. Dwa inne strzały do tego samego stada miały ten skutek, że zabiłem dwa średnie kozły, robiąc dubleta. Tymczasem padał obok mnie strzał po strzale. Nadleśny ledwo miał czas nabijać, bo drugie stado kozic pędziło na niego. Także i podleśni, stojący na skrzydłach, ubili w tym samym miocie w przeciągu dziesięciu minut siedem kozłów i dwie kozice.

Zabitą zwierzynę okryliśmy liśćmi w bezpiecznem miejscu i ruszyliśmy w dalszą drogę, do drugiego miotu. Droga była dość dogodna, przytem śliczne widoki jezior urozmaicały nam widnokrąg, zwłaszcza Morskie Oko, perła Karpat. Na brzegu jego spoczęliśmy, by

Gawędy starego myśliwego.

II.

Wróciłem niedawno z Galicyi, gdzie przepędziłem całą zimę, i gdzie, naturalnie, starałem się, o ile mogłem, zamiłowanie moje do polowania zaspokoić. Nie przychodziło mi to z trudnością, bo serdeczne przyjęcie u braci galicjan i wielkie zamiłowanie ich do myśliwstwa niejednokrotnie dawały mi sposobność zajrzeć do wielu jeszcze wspaniałych lasów galicyjskich i szukać w nich tych niedających się opisać wrażeń, jakich doznaje każdy prawdziwy myśliwy w obec nadziei spotkania się z dzikim zwierzem. A że u wszystkich myśliwych jest jeszcze w dodatku jakiś wspólny sympatyczny i braterski łącznik, który zbliża ich do siebie bez względu na wiek, stan i pochodzenie, przeto i w Galicyi kółka myśliwskie tworzą się łatwo i chętnie, wszystkich członków takich kółek ożywia jednakowa nadzieja obfitej zdobyczy, różnych nieprzewidzianych przygód i wrażeń, u wszystkich wreszcie uwydatnia się owa łatwa, szybka i serdeczna zarazem zażyłość, będąca wyłączną cechą narodów słowiańskich.

Śliczny to kraj ta Galicya ze swojemi wielkiemi górami, pokrytemi lasem, niebotycznemi skałami, czarującemi dolinami, licznemi strumieniami o czystych jak kryształ wodach, toczących się szybko i z miłym dla ucha szelestem po dnach silnie nieraz spadzistych i kamienistych. To też i tereny myśliwskie w Galicyi o wiele silniejsze jak u nas sprawiają na myśliwym wrażenie. W otoczeniu tej dzikiej, ale wspaniałej zarazem natury, na widok tych gór, szczelin, parowów, pokrytych przeważnie świerkowemi lasami, do wnętrza których z trudnością tylko przedostaje się światło dzienne, w obec licznych i niebezpiecznych nieraz przeszkód, jakie się na tego rodzaju terenach napotyka, a które jednakże pokonać trzeba, myśliwy mimowolnie sięga myślą w dawne, minione czasy, widzi się w jakiejś wielkiej i niedostępnej dla człowieka puszczy, pełnej różnego, wielkiego zwierza, a w której łowy stanowiły wówczas rodzaj wypraw wojennych. Pod wpływem więc takich wrażeń i wspomnień zdaje się myśliwemu, że w kniei także spotkać się może z potężnym i niebezpiecznym nieprzyjacielem, z którym będzie musiał walczyć na śmierć, lub że w tej kniei usłyszy lada chwila miły dźwięk dawnych rycerskich rożków, głoszących jego zwycięstwo.

Nie należałem nigdy do rzędu egzaltowanych marzycieli, chociaż gorąco kocham wspomnienia z życia i zwyczajów naszych praojców, mam więc pewną zasadę przypuszczać, że rodzaj i widok kniei, w jakiej się poluje, musi do pewnego stopnia oddziaływać na umysł każdego z prawdziwych miłośników łowieckiego sportu; musi wzbudzać w nich, w danym razie, jakieś szlachetniejsze wrażenia i myśli, o jakich wspomniałem wyżej, musi wreszcie, mniej lub więcej, podniecać w takich myśliwych ich uczucia miłości i szacunku dla tego najszlachetniejszego, narodowego naszego sportu. A wszystkie dodatnie takie cechy przedstawia przeważna część myśliwskich terenów w Galicyi. To też polowanie w tamtych stronach sprawia na mnie urok niezwykły, urok godny zalecenia braciom myśliwym, bo urok łączący w sobie zadowolenie namiętności myśliwskiej z zadowoleniem serca.

Pomimo mnóstwa miejscowości, jakby stworzonych dla przechowywania i rozmnażania się zwierzyny, pomimo dość surowych przepisów, dotyczących praw i porządku polowania, pomimo wielkiej czujności ze strony żandarmeryi, która z niezwykłą energią ściga tak kłusowników, jak i naruszających przepisy o polowaniu, Galicya nie może pochwalić się obfitszym zwierzostanem, i pod tym względem nie dorównywa nawet guberniom Królestwa Polskiego. Nie mówię to naturalnie o wielkich majątkach z obszernemi lasami, należących do najbogatszych obywateli w Galicyi i zarazem miłośników polowania, bo w majątkach takich, również jak i u nas, nietylko o wiele łatwiej ochronić od wytępienia istniejący już zwierzostan, ale zarazem znajdują się zwykle i odpowiednie środki materjalne, ażeby, w danym razie zwierzostan ten wzmocnić lub powiększyć. I w tym wypadku pieniądz dużo dokazać może bez względu na to, czy wydaje się go przez rzeczywiste zamiłowanie do myślistwa, czy tylko przez próżność.

Jaki może być powód, że w Galicyi, tak świetnie zdawałoby się uposażonej przez matkę naturę, nie ma większej ilości zwierzyny, odgadnąć trudno. Zdaje się jednakże, że nie żaden wpływ nieprzyjaznych warunków klimatycznych na rozmnażanie się zwierzyny, ale zbyteczne tępienie jej, choćby nawet w terminach przez prawo dozwolonych, jest główną przyczyną takiego stanu rzeczy. W Galicyi bowiem, w bardzo wielu miejscowościach, przestrzenie gruntów, należących do włościan, znajdują się w pomięszaniu z obszarami dworskiemi, a nawet same obszary dworskie nie stanowią często łącznej, jednolitej całości, przedstawiającej możność nietylko racyonalnej hodowli zwierzyny, ale nawet i ochrony jej od kłusowników; w Galicyi zresztą nie brakuje także owych myśliwych, niebezpieczniejszych jeszcze od kłusowników, co to uważają sobie za chlubę wybicie wszystkiej zwierzyny na danym terenie, na którym otrzymali prawo polowania, a którzy w zdobyczy świeżego mięsa lub jego wartości upatrują jedyny cel myślistwa. Że zaś, również w Galicyi, jak i u nas, prawo polowania na gruntach włościańskich, wskutek różnych manipulacyj urzędników gminnych, dostaje się przeważnie tego rodzaju zwolennikom polowania, albo

---

się posilić drugiem śniadaniem i cokolwiek odetchnąć po marszu. Sępy białogłowe (?) krążyły majestatycznie nad nami, podlatując nawet na strzał, ale nie strzelaliśmy do nich, mając jeszcze przed sobą jeden miot. Naganiacze mieli pędzić od granicy; my, strzelcy, stanęliśmy o kilkaset kroków od Morskiego Oka, tworząc niejako cięciwę łuku.

Długo trwało, nim rozległ się sygnał, że pędzenie zaczęte. Teren był kamienisty, goły, nawet za goły, bo drzew nigdzie widać nie było. Ja stałem na prawem skrzydle, obok mnie nadleśny.

Niebawem rozległy się strzały. Mój kolega p. T. zabił kozła, któremu towarzyszyła kozica z koźlęciem. Kozica, przestraszona strzałem, w ogromnym susie przesadziła szeroką szczelinę skały, zostawiając po drugiej stronie koźlę. Zatrzymała się na brzegu, i tupiąc nogami i gwiżdżąc, wołała swe dziecię do siebie. Koźlę zdecydowało się wreszcie na skok, który się szczęśliwie udał. Był to pyszny widok.

Tymczasem poczęli się zbliżać naganiacze; przed nimi pędził wprost na mnie kapitalny kozioł. Wziąłem go na cel na 30 kroków, ściągam cyngiel, a mój Winchester-Colt nie puszcza. Może sobie każdy wystawić, w jakim byłem humorze po takiem zdarzeniu.

Po krótkim marszu zebraliśmy się znowu nad jeziorem Podraga. Wypocząwszy chwilę, ruszyliśmy z powrotem; gdyśmy zaszli około szóstej godziny do szałasu, oczekiwała na nas już herbata, przez leśniczego naparzona; pod względem kulinarnym także była obfitość, bo leśnik okazał się znakomitym kucharzem, przyrządziwszy wątróbkę kozicy tak smacznie, że mi jeszcze dziś ślinka do ust idzie.

Spaliśmy wybornie i twardo; postanowiliśmy pozostać jeszcze dwa dni w szałasie, by polować na sępy. Jako przynętę kupiliśmy konia zdechlaka za 10 guldenów; jednakże wydatek był daremny, bo ani jednego sępa nie widzieliśmy, prawdopodobnie dla tego, że ścierwo konia za mało jeszcze było przegniłe i zapachem sępów nie przynęcało.

Wracając, widzieliśmy w niewielkiej odległości orło-sępa (*Gypaëtus barbatus*); niestety, bronie były przewieszone przez ramię. Wróciliśmy szczęśliwie do domu, pełni wspomnień, scen i wrażeń na całe życie.

i całym grupom takich zwolenników, przeto w obec silnego tępienia zwierzyny na gruntach włościańskich, a tem samem i trudności jej ochrony na mniejszych obszarach dworskich, zwierzostan w Galicyi również jak i u nas, dopóty nie może być zupełnie pomyślny, dopóki nie przyjdą mu w pomoc odpowiednie przepisy prawa.

Według obowiązujących obecnie przepisów, tak u nas, jak i w Galicyi, właścicielom posiadłości ziemskiej, nieprzenoszącej 150 morgów obszaru, nie wolno jest polować na własnych swych gruntach, ale wolno jest (chociaż przepisy wyraźnie, o tem nie mówią) polowanie na takich gruntach wydzierżawiać posiadaczowi terenu większego, chociażby złożonego z kilku terenów mniejszych. Tego rodzaju przepisy silnie ograniczające prawo mniejszej własności ziemskiej, musiały być uważane za niezbędne w interesie dobra publicznego, skoro je oparto na podstawie tak niepopularniej, jaką zawsze być musi każde ograniczenie w posiadanej własności. Jeżeli jednakże środek taki uważano za konieczny dla zwiększenia zwierzostanu, jako jednego ze źródeł bogactwa krajowego, jeżeli właścicielowi mniejszej, jak 150 morg., posiadłości ziemskiej odjęto prawo polowania na własnych jego gruntach, czyli odjęto mu prawo używalności osobistej, to dla czegoż, w takimże interesie dobra publicznego nie możnaby postanowić, ażeby na tego rodzaju terenach nikt też inny polować nie miał prawa, a same takie tereny były uważane jako miejsca ochronne, jako gniazda, służące do swobodnego i spokojnego rozmnażania się zwierzyny. Oddzielnych nomenklatur, nieposiadających 150 morg. obszaru, a należących czy to do jednego, czyli też do kilku właścicieli, mamy we wszystkich częściach kraju bardzo wiele, możnaby więc stworzyć z nich mnóstwo miejsc ochronnych, chociażby nawet z pewnem wynagrodzeniem właścicieli takich obszarów, a wówczas zwierzyna rozmnożyłaby się szybko, i stałaby się poważnem źródłem bogactwa krajowego. Przy obecnej bowiem praktyce o racyonalnej ochronie i rozmnażaniu się zwierzyny myśleć nawet nie można, skoro na wszystkich prawie obszarach gruntów włościańskich, mniejszych lub większych. prawo polowania, pod wpływem urzędników gminnych, dostaje się w ręce całych kółek takich myśliwych, a raczej takich legalnych kłusowników, których jedynym jest celem—dobra zdobycz i tępienie zwierzyny.

W Galicyi, o ile mi wiadomo, czynią się już zabiegi, ażeby to zło usunąć, wartoby więc pomyśleć o tem i u nas. Sądzę nawet, że u nas o tyle nawet łatwiej daloby się coś zrobić w tym przedmiocie, że władze wyższe uznają potrzebę większej jak dotąd ochrony zwierzyny, że w tym celu opracowują się obecnie nowe przepisy o prawie polowania, że wreszcie posiadamy Cesarskie Towarzystwo rozmnażania zwierzyny i prawidłowego myślistwa, którego wnioski i uwagi, w zakresie specyalności, a nawet i obowiązków tego T-wa, z pewnością przyjęte byłyby chętnie przez właściwe władze prawodawcze.

L. Łaszcz.

Strzelba myśliwska

JEJ WYRÓB I PRAKTYCZNE ZASTOSOWANIE

PRZEZ

Jerzego Kocha.

Tłómaczył z niemieckiego **J. Kraszewski**.

(Dalszy ciąg).

System *Hans Brings w Kolonji* (fig. 34) nie zyskał wcale uznania: ja przynajmniej strzelby z tym mechanizmem nie widziałem. Jest on trochę więcej skomplikowany, jak poprzedni, ale pod względem techniki lepszy od poprzedniego, bo zabezpiecza nietylko cyngle, ale także sztyfty (*Stangen*) tak, że daje jaką taką gwarancyę, że strzelba nie puści.

Otwierając strzelbę, bezpiecznik za pomocą sprężyny spiralnej wpada w przystawkę, umieszczoną w blaszanej ściance zamka.

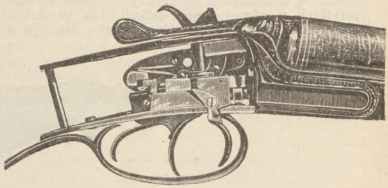


Fig. 34.

W ten sposób kierownik (*Führungstange*) unieruchamia się tak, że nie grozi żadne niebezpieczeństwo, by strzelba puściła.

Otwarcie bezpiecznika, czyli odsunięcie onego, uskutecznia się przy zmierzaniu się, naciskając lekko cyngiel trzeci, umieszczony brzuszkiem w odwrotną stronę, wskutek czego sprężyna spiralna zwalnia zamki z uwięzi. Dla amatorów dodajemy, że taki bezpiecznik można sobie kazać zrobić u każdej broni; kosztuje on w fabrykach 30 m.

Wypada nam jeszcze wymienić bezpiecznik systemu „Krieghoff w Suhl," patentowany pod nazwą bezpiecznik precyzyjny (*Pracisionssicherung*).

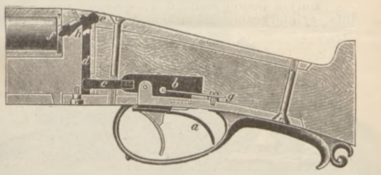


Fig. 35.

Przedstawia go fig. 35. Działa on tak samo dokładnie, jak powyżej wspomniany.

Kierownik cyngla *b* jest połączony za pomocą ramienia *c* z zasuwką *a*, która działa na cały mechanizm zabezpieczenia broni. Pociągnąwszy za cyngiel a, zamki są wolne.

Bittner i Weigl w Czechach uzyskali patent na strzelbę, którą nazwali *Genial-Gewehr*. Zamierzali oni wzmocnić zamknięcie i zaprowadzić inny system wypychaczy. O ile im się to udało, wykaże nam to mniej więcej fig. 36 i 37.

Strzelba ta ma tak zwany *Excenterverschluss*; jednak *Excenter* nie wpada w szparę między lufami, jak zwykle u innych broni.

Mechanizm przedstawia się tak, że po obu stronach luf są umieszczone przystawki (*Backenstücke*), mię-

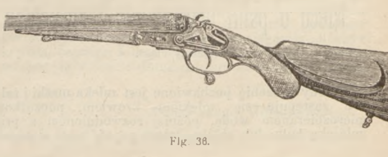


Fig. 36.

dzy które przy zamykaniu strzelby wpada masywna część baskuli. Następnie obraca się rączkę (*Hebel*), wskutek czego lufy ściśle i mocno przylegają do baskuli.

Wypychacz naboi porusza się za pomocą kierownika (*Führungstange*), umieszczonego między przystawkami.

Zamki różnią się od zwykłych odskakujących tem, że nie są umieszczone na bocznych blachach, lecz na sztyftach, w górnej części baskuli, jak to dokładnie wskazują figury 36 i 37. Oprócz tego dla obu zamków jest tylko jedna sprężyna spustowa; blaszki po bokach chronią tylko zamki od wilgoci i t. d. Umieszczenie kurków na wierzchu baskuli ma jeszcze i tę dogodność, że kurki nie tak łatwo się zahaczają o ubranie lub gałęzie.



Fig. 37.

Następnie zamki można rozebrać bez pomocy szrubsztaka, wyciągając ręką lub za pomocą nożyka zasuwkę boczną pod zamkami, którą widzimy na fig. 37. Odejmuje się blaszki, odwodzi się kurki i z łatwością wyjmuje się pojedyncze części zamków. Nie jest to system najnowszy, postępowy, jednakże lepszy, aniżeli starsze konstrukcye broni.

Kończąc ten rozdział, musimy jeszcze nadmienić, jak centralówka z kurkami powinna być zbudowana, by mogła myśliwego zadowolnić.

Fig. 38 przedstawia taką centralówkę.

Lufy z dobrej stali lub z dobrego dziweru, prawa lufa cylindrycznie borowana, lewa pół choke, zamknięcie potrójne za pomocą poprzecznego rygla i z dzwignią (*Hebel*) na tarczy. Kolba bywa zwykle pistoletowa z poduszką dla policzka (*Blacke*). Ozdoby luf i reszty części tej broni są skromne i zastosowane do praktycznego użytku, bo wszelkie rzeźby i t. d. przyczyniają tylko kosztu, a z drugiej strony utrudniają nieraz ujęcie kolby przy zmierzaniu się.

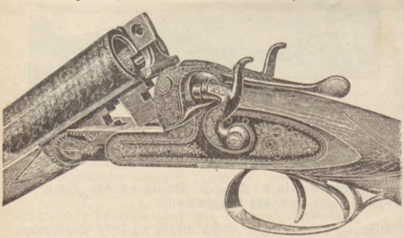


Fig. 38.

(D. c. n.).

Nieco o psim organizmie i zmysłach.

(Dalszy ciąg).

Gdy szczenię pozbawione jest mleka matki i takowe zastępuje się mlekiem krowiem, początkowo nierozbieranem wodą, później rozwodnionem z przymieszką bułki lub chleba, łatwo popaść może w *anemię*, od której chcąc go uchronić, należy od czasu do czasu dodawać nieco mięsa. Mięso wszakże winno być suszone i starte na mąkę głównie dla tego aby uczynić smaczniejszą polewkę, nie rozkapryszać węchu młodemu psu, który po zakosztowaniu raz samego mięsa, nie chciałby przyjąć żadnych innych pokarmów, mimo wrodzonego łakomstwa.

W handlu znajdują się gotowe kołacze, w skład których wchodzą: ospa owsiana i jęczmienna, lub jaglana z domieszką sproszkowanych jarzyn i suszonego mięsa końskiego; zbytnia jednak cena tego wytworu nie pozwala mu się upowszechnić, jakby należało. Kołacze te wszakże należy rozkruszyć i dobrze sparzyć. Jakkolwiek starsze psy chętnie pożerają i suche, to jednak młodym nie należy dawać suchych kawałków ze względu na niewykształcone zęby mleczne, które pod wpływem nacisku szczęk mogłyby przyjąć nienormalny kierunek i stanąć na przeszkodzie wyrzynaniu się zębów trwałych.

Porcye pożywienia winny być ściśle zastosowane do wielkości psiaka, ażeby zdołały wynagrodzić straty, poniesione przez organizm w ciągu doby. Wogóle uznano za zasadę przyjąć, ażeby pies mógł otrzymywać pożywną, dosyć gęstą zupę, albo polewkę jarzynno-chlebno-mięsną, któraby na każde 100 funt. żywej wagi psa odpowiadała 4 funt. czystego mięsa.

Zupa, czy polewka, jakeśmy ją nazwali, nie powinna być zbyt płynną, ale służyć tylko do kompletnego rozmiękczenia chleba. W każdym razie, przyjmując za podstawę mięso i chleb, tego ostatniego wypadać winno: na małego psa 10 łutów, średniego 20, a wielkiego 1¼ funt. na każde danie rano i wieczór. Stosunek ten, z odpowiednią ilością jarzyn i mięsa, o ile winien być uwzględniany w psiarniach, o tyle w pojedynczych wypadkach ze względów ekonomicznych może być zredukowany do dwóch racyj dziennie, złożonych z chleba i resztek obiadu (byle nie korzennych), zwilżonych gorącą wodą z popłukanych naczyń i podawanych w stanie zupełnie chłodnym.

W przyrodzie w całym procesie trawienia dają się zauważyć pewne właściwości. I tak: roślina, przerabiając materye nieorganiczne na organiczne wytwarza włóknik, krochmal, cukier białko i t. p. produkty. Zwierzęta roślinożerne, znajdując tym sposobem w roślinach gotowy materyał do budowy różnych części swego ciała, nie potrzebują tworzyć ich z pierwiastków prostych, lecz już z uorganizowanych materyj rozpuścić je tylko w przyrządzie trawienia i odpowiedniemi naczyniami za pośrednictwem krążenia doprowadzić do właściwego miejsca i tam je przyswoić. Mięsożerne mają akt trawienia jeszcze więcej ułatwiony i niepotrzebują chemicznego laboratorjum w żołądku, spożywając bowiem zupełnie te same materye, jakie składają ich organizm, przekształcają tylko postać materyału odżywczego. Z tego wypada, iż u ostatnich odżywianie odbywa się najprędzej, narzędzia bowiem trawienia niepotrzebują być zbytnio komplikowane, są więc prostsze i krótsze, czynność trawienia jest u nich bardziej ułatwioną, dla tego też stosunkowo niewiele jedząc, najadają się prędzej, trawią w krótszym czasie i mniej wydzielają odchodów.

Gdy pies został wszystkożernym, nastąpić musiały w jego organizacyi pewne zmiany, jakie stanowczo odróżniły go od pierwotypu i to właśnie dopomogło mu do utrwalenia jego cywilizowanego stanowiska w rzędzie drapieżnych.

Z procesem odżywiania w ścisłym związku pozostaje proces oddychania, jaki się odbywa przy pomocy płuc, zawartych w klatce piersiowej i różnych przewodów, utrzymujących stosunek między niemi a światem zewnętrznym, jako to: nozdrza, przełyk, tchawica i oskrzela.

Nie możemy tutej wdawać się w systematyczny wykład biologiczno-anatomiczny, powinny tylko, że dobrze rozwinięty i działający aparat oddychania stanowi o sile i zdrowiu zwierzęcia.

Wskutek nadzwyczajnej ścisłości skóry, pozbawionej niemal porów, a przeto możności transpiracyi przez nie, cały proces pocenia załatwiany bywa przez przyśpieszone oddychanie, pies więc nietylko podczas

gorąca, ale i podczas natężonej pracy przy dłuższem bieganiu, otwiera pysk, wywiesza język i ziaje i tą drogą się poci. W tym stanie, delikatniejsze, a mniej dobrze rozwinięte organizmy łatwo podlegają chorobom, powstałym z zaziębienia jak: zapalenie płuc, gardła, opłucnej, a nawet nosaciznie. Z tego względu nie należy pozwalać psu podczas silnego wiatru zbytnio wycierać pola, ani też dopuszczać szybkiego stygnięcia po zgrzaniu. W tym razie, jeżeli temperatura powietrza jest niska, a pies z jakichkolwiek przyczyn raptownie przechodzi w stan spoczynku (np. wzięty na bryczkę), powinien być przez jakiś czas przynajmniej dobrze okryty derą lub kocem.

Z zaziębienia psy podlegają także reumatyzmowi, ale ze względu na brak transpiracyi skórnej błędnem jest stosowanie w tym razie hydroterapeutycznej metody, doradzanej niekiedy „w celu pobudzenia silnego przewiewu skórnego" zamiast w celu reakcyjnego podniesienia ciepła w całym organizmie.

Psy wogóle pierś mają dobrze rozwiniętą, niewyłączając chartów, których pierś jakkolwiek głęboka i wysoka, nie jest w odpowiednim stosunku szeroką. Ze względu jednak na niezwykły *ścig* zwierzęcia, forsę i opór powietrza, jaki muszą przezwyciężać, przy otwartym, ziejącym pysku, częściej niż inne psy podlegają wyżej wymienionym chorobom, zwłaszcza jeżeli przytem są zatłuszczone.

Przyjmowanie i przetrawianie pokarmów, oraz oddychanie są przyczyną bezprzestannej pracy organicznej, jaka się streszcza w przeciągłym obiegu materyi. Procesy zaś, dokonywające się w tej materyi, są źródłem życia, którego zjawiska, będąc rezultatem wzajemnego oddziaływania świata zewnętrznego na istotę żywą, dają obraz czynności nerwowych, jakie dzielimy na zmysły i procesy umysłowe.

Pies jako zwierzę wyższej organizacyi, posiada 5 zmysłów, które nie wszystkie i nie u każdego osobnika jednakowej są siły. O ile słuch, węch i wzrok ma wogóle wysoko rozwinięte, o tyle smak—żaden, a dotyk względny, i właśnie taki podział natężenia zmysłów czyni go niezmiernie pożądanym i cennym w usługach, jakie człowiekowi oddaje. Gdyby bowiem smak miał tak rozwinięty, jak węch, byłby pies zanadto kłopotliwym i uciążliwym. Tymczasem, nie grzesząc smakiem, daje się czemkolwiek zaspokoić i zadawalnia się niemal samemi odpadkami gospodarskiemi, a przeto utrzymanie jego staje się nieco łatwiejszem. Nie idzie wszakże zatem, ażeby nie mieć o nim starania i racyonalnem karmieniem nie podtrzymywać siły tych zmysłów lub organów, z jakich człowiek pragnąłby korzystać najwięcej.

Najcenniejszy ze zmysłów, węch (powonienie, wiatr, cuch), ma siedlisko w górnej części kanału nosowego, sąsiadującej z mózgowiem, wyścielonego tutkowato pokręconemi chrząstkami; są to tak zwane muszle, wypełniające nozdrze. Z mózgu po przez kość sitową, dzielącą go od jamy nosowej, wybiega pierwsza para nerwów węchowych, i rozdzielając się na niezliczone odnogi, rozgałęzia się obficie na olbrzymiej powierzchni wyż wspomnianej błony, która zawdzięczając licznym skrętom, zajmuje kilka stóp kwadratowych i potrafi zmieścić się w dość stosunkowo ograniczonej przestrzeni.

(D. c. n.).

Antoni Ignacy Tomaszewski.



Na wystawie rolniczej w Poniewieżu, która odbyła się w końcu maja, ogólną uwagę zwracał pawilon myśliwski, urządzony przez ks. Konstantego Radziwiłła z Towian, tudzież zgraja, złożona z kilkunastu sztuk wybornych gończych. Ks. Konstanty Radziwiłł, syn księcia Karola i Jadwigi z hr. Platerów, jest jednym z najnamiętniejszych myśliwych w naszym kraju, a jego zbiór trofeów myśliwskich zwracał na wystawie powszechną uwagę. Ks. Konstanty należał do *jury* w dziale psów na Warszawskiej Wystawie Łowieckiej w 1999 r.

Wyżły angielskie.

(Dalszy ciąg).

B) DŁUGOWŁOSE (SETTERY).

Chociaż większość angielskich kynologów, z nieboszczykiem Laverack'iem na czele, utrzymywało i utrzymuje, że współczesne settery pochodzą wprost, bez żadnej domieszki obcej krwi, od dawnych długowłosych wyżłów hiszpańskich (spanielów) i zmieniły się jedynie przez staranny dobór w szeregu wielu pokoleń, niemniej jednak jest rzeczą pewną, że nietylko irlandzkie i szkockie, ale nawet i angielskie settery są rasą więcej złożoną, aniżeli pointery. Między innemi, jako dowód służyć może to, że maść kasztanowata, którą wyżły hiszpańskie przekazywały nawet rasom z niewielką domieszką ich krwi, u wszystkich trzech odmian setterów zatraconą została.

Epoka sprowadzenia spanielów do Anglii jest bardzo odległą; istnieją piśmienne dowody, że już w X stuleciu naszej ery były one tam używane jako psy myśliwskie. Z biegiem czasu zaczęto dzielić spaniele na odmiany, podług rodzaju polowania, do jakiego były używane. I tak w wieku XVI dzielono je na wodne i lądowe; te zaś ostatnie znowu dzieliły się na dwie odmiany: wyganiających i wystawiających ptactwo. Pierwsze używane były w gęstych zaroślach do polowania z sokołami. W takich miejscowościach wystawianie byłoby zupełnie niepotrzebne; wybierano zaś do tego psy małe, skarłowaciałe, na krótkich nogach, ażeby łatwiej mogły przemykać się pod gąszczami. Drugie, to jest większe spaniele, przyuczono do powolnego skradania się i przywarowywania przed zwierzyną i używano ich do polowania w otwartych miejscowościach z siecią, a następnie i bronią palną. Pierwsze nie wiele zmieniły się do obecnych czasów i pod tą samą nazwą *spanieli* znane są i używane do polowania na bażanty, słonki w jesieni i t. p. Drugie były podstawą, z której wyprowadzono rasę obecnych setterów.

Nazwę *setter* nadawano już w końcu XVI-o wieku tym spanielom, które przywarowywały przed zwierzyną, choć były to jeszcze dawne spaniele różniące się bardzo od obecnych setterów. Aż do końca XVIII wieku spaniele były ulubionemi psami Anglików i na wyspach Wielkiej Brytanii miały stanowczą przewagę nad krótkowłosemi wyżłami, podczas, gdy w Hiszpanii wyginęły one prawie doszczętnie, ustąpiwszy miejsca perdiguerosom i pachonesom, a w reszcie zachodniej Europy, t. j. we Francyi i w Niemczech psy długowłose były o wiele mniej liczne od krótkowłosych. Dopiero zjawienie się ulepszonych pointerów w końcu XVIII wieku, i widoczna ich wyższość nad ówczesnemi setterami, spowodowały z jednej strony stanowczą przewagę pierwszych na pewien czas i to tylko w samej Anglii (Szkocya i Irlandya pozostały wiernemi psom długowłosym); z drugiej zaś strony wywołały próby poprawienia kształtów i przymiotów setterów o tyle, ażeby mogły one wytrzymać porównanie z pointerami. Od tego też czasu (około r. 1800) można liczyć początek powstania rasy obecnych setterów.

Ówczesne spaniele (zwane już setterami) były to psy inteligentne, posłuszne, dające się łatwo układać i miały dobry, choć dolny wiatr. Były one jednak przytem za powolne i miały tę złą stronę, że będąc niedużego wzrostu, po tropach szły, pełzając, a przed zwierzyną kładły się, przez co często ginęły z oczu myśliwego. Trzeba więc było dodać im wzrostu, energii i bystrości, a także oduczyć od pełzania i warowania. Większość angielskich kynologów utrzymuje, że wszystko to osiągnięto jedynie przez staranny dobór, ale dość mieć jakie takie pojęcie o hodowli psów i wyprowadzaniu nowych ras, ażeby zrozumieć błędność takiego twierdzenia.

Obecnie trudno jest wykazać z zupełną dokładnością, kiedy mianowicie i jakie postronne rasy krzyżowano ze spanielami dla nadania im cech pożądanych. Zdaje się jednak, że użyto do tego przedewszystkiem epagneuli francuzkich lekkiego typu, na co wskazuje i Vero Shaw; domieszka zaś krwi pointera nie ulega żadnej wątpliwości. W każdym razie już w wydanej w r. 1805 „Cynographia Britannica" znajdujemy kolorowany rysunek trzech setterów, niewiele różniących się od obecnych; mają one tylko krótsze, trójkątne i wysoko postawione uszy. Już po kilku dziesiątkach lat nowopowstałe settery dorównały w przymiotach polowych pointerom, a były nawet epoki, że je przewyższały. Obecnie jeżeli nie w samej Anglii, to wziętej razem ze Szkocyą i Irlandyą, zwolennicy setterów są w znacznej większości, choć spór o tem, która z tych ras jest lepszą, dotąd jest otwartym i tym trudniejszym do rozstrzygnięcia, że tak jak nie ma setterów bez domieszki krwi pointera, tak samo nie ma pointerów, niekrzyżowanych z setterami.

Stało się to następującym sposobem: wielu myśliwych, dbających więcej o przymioty polowe swoich psów, jak o czystość pochodzenia, krzyżowało często pointerów z setterami, dając takim mieszańcom nazwę *droppers*. Niektóre z tych dropperów były rzeczywiście psami znakomitemi w polu i te z nich, które się wyradzały z włosem krótkim, były używane przez niektórych hodowców pointerów do odświeżenia krwi w ich psiarniach; hodowcy setterów tak samo często korzystali z dropperów o włosie długim. Tym sposobem, przymioty jednej rasy przelewały się na drugą i wartość ich równoważyła się. W większości jednak wypadków, settery są psami inteligentniejszemi i łagodniejszemi od pointerów, chętniej pływają i w ogóle są odpowiedniejszemi do polowania błotnego i leśnego. Za to są bardziej wrażliwe na gorąco, trudniej znoszą brak wody i używane do pracy, często tracą wiatr na pewien przeciąg czasu. Pointery oprócz tego przewyższają setterów estetyczną stroną tak okładania jak i wystawiania. W miejscowościach otwartych i w dni gorące, pointery stanowczo mają przewagę.

(D. c. n.).

August Sztolcman.

O gubieniu jaj.

Od czasu do czasu znajduje się w polu jaja, leżące na gołej ziemi. Można przypuścić, że to są jaja pogubione przez samice, pod wpływem niezwykłej temperatury lub nienormalnego ustroju ptaka.

Rozpatrzymy najprzód czas lęgu. Georg Schneider w dziele „*Der tierische Wille*" pisze: „Słanie gniazda polega niejako na psychologicznym ustroju ptaka. Dany osobnik przypomina sobie,—że się tak wyrażę— w jakiem gnieździe się wychował, i takie same gniazdo, z tego samego materyału buduje sobie w porze składania jaj."

Z drugiej strony same gniazdo lub jedno jajo, złożone w niem, wzbudza popęd i chęć do siedzenia i składania jaj dalszych. Widzimy to dosadnie u naszych kur swojskich. Gdy im się zostawi jedno jajo w gnieździe dla zachęty, kura składa w dalszym ciągu więcej. W ten sposób możnaby podnieść płodność dzikiego ptactwa, ale niestety, wszelkie próby, sztuczne wylęganie i. t. d, nie udały się, bo ptak, w wolnym stanie żyjący, zasiada dopiero wówczas na jajach, gdy złożył ich dostateczną ilość, przez przyrodę określoną. Gdy nadszedł popęd płciowy, a zarazem i inklinacya do siedzenia, ptak siedzi na jajach kamieniem. Kaczki podobno wzajemnie kradną sobie jaja, by mieć ich jaknajwięcej do wysiadywania.

Baron Droste, znany przyrodnik, pisze: „U dzikiego ptactwa, zwłaszcza u kuropatw, samiec wyszukuje miejsce domowego ogniska, a samica zajmuje się jego urządzeniem."

Wynikałoby z tego, że, skoro ptaki tak troskliwie budują gniazda, nie powinnyby ich opuszczać, póki nie zniosą tyle jaj, ile natura ptaka wymaga. Jednakże często bywa inaczej. Zauważyć można u dzikich kaczek,

bażantów, czajek, kukułek, że gubią jaja w polu lub lesie. Możnaby to sobie wytłómaczyć, w ten sposób, że nieraz drapieżniki wystraszają ptaki z gniazda, tak, że samice w czasie okresu niesienia się zmuszone są gdziekolwiekbądź swój płód złożyć. Takie przypadki są możliwe.

Dr. Liebe pisze, że znalazł na łące jajo puhacza, dalej, że widział kukułkę z jajem w dziobie, które złożyła w gnieździe skowronka.

Niewątpliwie tylko konieczność zmusza nasze ptactwo porzucać jaja gdziekolwiek poza gniazdem. Co do ptaków niosących się w marcu lub lutym, to dr. Liebe tłómaczy gubienie jaj w ten sposób, że nieraz śnieg gniazdo zawieje, tak, że poszczególny ptak odnaleźć go nie może i byle gdzie jaja składa.

Takie przypadki zauważył dr. Liebe u kwiczołów (*Turdus viscivorus*).

Dozorcy leśni opowiadają, że znajdują często porzucone jaja głuszców i cietrzewi. Bażant zwykle porzuca jaja poza gniazdem; jest to przez hodowców i bażantarników rzeczą dowiedzioną. To samo twierdzi dr. Liebe o cyrance i o łysce.

Pisze on dalej (w „*Ornitolog. Monatsschrift*" *1892*). „U ptaków, wylęgających wielką ilość jaj, jak n. p. kuropatw i kaczek, zdarzają się najczęściej przypadki gubienia jaj. Ptaki te prawdopodobnie mniej dbają o swoje jaja.

Wogóle przyczyny gubienia jaj przez ptactwo nie są dostatecznie wyjaśniono. Nasuwa się tu dla myśliwego wdzięczna rola obserwatora, którego spostrzeżenia poważnie wesprzeć mogą naukę ornitologii.

Z powodu Wystawy psów w Petersburgu.

W korespondencyi mojej z Petersburga, pomieszczonej w Nr. 11 „Łowca Polskiego," znajduje się wzmianka o psach gończych p. Moraczewskiego, którego złaję uważałem za najlepszą z wystawionych i przypuszczałem, że tylko z powodu linienia psów składających ją, nie została nagrodzoną. Obecnie, na skutek protestu p. Moraczewskiego i z prawdziwą przyjemnością pospieszam sprostować mimowolną omyłkę.

Nagrody na wystawie ogłaszane bywają ostatniego dnia i na godzinę lub półtorej przed zamknięciem, tak że pojedynczy sprawozdawca, nie mający stosunków w Komitecie wystawowym, nie ma możności wynotowania wszystkich nagród i co do tego musi polegać na relacyach pism codziennych. Ja czerpałem wiadomości o nagrodach ze sprawozdań p. Iwaszczencowa, pomieszczonych w „Nowem Wremieni," który nic o psach p. Moraczewskiego nie wspomina. Jako dowód jednak mojej dobrej woli służyć może to, że na mocy własnego, osobistego sądu uznałem złaję p. Moraczewskiego za najlepszą z wystawionych i zasługującą na wyróżnienie. Obecnie zaś pospieszam zaznaczyć, że psy p. Moraczewskiego dostały wielki srebrny medal od Towarzystwa miłośników psów rasowych i mały srebrny medal od Ministeryum Rolnictwa za całą złaję, złożoną z 12 psów. Oprócz tego, pojedyncze okazy z tej złai otrzymały następujące nagrody: Wilija duży srebrny medal. Znajda i Wisła małe srebrne medale, Popraw, Gracz i Mirta bronzowo medale, a Dumba i Dunaj pochwalne listy. Oprócz tego winienem sprostować, że psiarnia p. Moraczewskiego nie znajduje się na Litwie, ale w majątku jego Bokowo, położonym w gubernii pskowskiej, powiecie ostrowskim.

August Sztolcman.

PRZED SEZONEM.

Niedługo, bo już za parę tygodni rozpocznie się małe polowanie na ptaki przelotne. Na łąkach od rana do wieczora rozbrzmiewać będzie echo wystrzałów. Panowie myśliwi powinni jednak oszczędzać, o ile możności, przepiórki i strzelać je dopiero jednocześnie z kuropatwami, gdyż liczba tych sympatycznych ptaszków, dzięki barbarzyństwu Włochów i mieszkańców północnego wybrzeża Afryki, znacznie się w ostatnich latach zmniejszyła.

Co prawda wartoby zmienić w drodze prawodawczej czas strzelania przepiórek, rozpoczynający się obecnie od d. 15 lipca na 15 sierpnia, t. j. zrównać go z terminem polowania na inną zwierzynę.

Biada, zaiste, iż w wielu okolicach naszego kraju na znaczniejszych przestrzeniach niema ani jednego członka Warszaw. Tow. prawidł. myślistwa, gdyż w takich miejscowościach, pozbawionych zupełnie opieki, zwierzyna bywa w barbarzyński sposób wybijana przez pseudo-nemrodów, pod postacią szanownych panów wójtów, pisarzów, okonomów, gorzelanych, lokajów etc. etc. (nb. wszyscy ci panowie zwykle nie mają biletu na broń).

Bawiąc obecnie u znajomych w Gidlach kilkakrotnie rozmawiałem z pomocnikiem tutejszego pisarza gminnego, który dowiedziawszy się, że jestem myśliwym, zaczął z tradycyjną myśliwską blagą *pseudo*-myśliwych wychwalać bohaterskie (?) swe czyny.

— Ja, panie—powiada—nie mam wiele czasu, lecz gdy już wyjdę na jaką godzinę, wybijam „do nogi" całe stado kur.

Zdanie takie, niepozbawione naturalnie porządnej dozy samochwalstwa i kłamstwa, nasuwa jednak pewne refleksye. Iluż to z myśliwych, szczególniej z młodszej generacyi, stara się, napotkawszy stado kur, wszystkie wystrzelać! Jest to nie rozrywka, godna prawdziwego myśliwego, lecz poprostu wyprawa rzeźnicka. Wiadomo, iż stare kury zawsze powinno się oszczędzać, ponieważ młodsze, pozbawione rodzicielskiej opieki, wnet stają się pastwą jastrzębia lub lisa. A i młodych wszystkich w stadzie nie należy wybijać, lecz zawsze kilka zostawić, gdyż polujemy dla przyjemności, a nie dla tego, aby jaknajwięcej zabić, zyskując czasem zupełnie niezasłużenie miano: „króla polowania." Sądzę, iż te kilka uwag i rad, napisanych szczególniej pod adresem młodych współbraci moich odniosą choć w części pożądany skutek ku uciesze mojej i naszej zwierzyny.

Stefan Ostrowski.

Ogólne Zebrania.

Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa odbył trzy Ogólne Zebrania Członków Rzeczywistych w d. 13, 20 i 27 czerwca.

Szczegółowego sprawozdania z przebiegu obrad wszystkich trzech Zebrań nie podajemy, bowiem toczyły one się przeważnie około kwestyj buchalteryjnych i kancelaryjnych, które dla szerokiego ogółu myśliwych mają prawdopodobnie ostatniorzędny interes. Natomiast zapoznamy naszych czytelników bliżej za stanem i działalnością naszego Towarzystwa, jako jedynej u nas instytucyi poświęconej interesom krajowego myślistwa.

Według sprawozdania za 1900 r. Oddział Warszawski Tow. praw. myśl. liczył z końcem roku sprawozdawczego Członków honorowych 4, amatorów 2, stałych 285 i rzeczywistych 563. Cyfra Członków Rzeczywistych zmniejszyła się znacznie w ciągu roku sprawozdawczego, bo Członkowie niezmiernie lekceważą sobie termina wnoszenia składek członkowskich i zalegają przez całe lata z ich uiszczeniem. W ten sposób tworzyły się zaległości, sięgające sum bardzo poważnych i mąciły jasny pogląd na finansowy stan Towarzystwa. Ażeby tego uniknąć jedno z zeszłorocznych Ogólnych Zebrań postanowiło, aby Członków zalegających więcej jak za dwa półrocza wykreślać i na mocy tego postanowienia zarząd Oddziału zmuszony był w roku sprawozdawczym wykreślić 321 Członków.

Nie wątpimy, że nawet część wykreślonych nie jest stracona dla Towarzystwa, gdyż nie niechęć dla instytucyi, tylko znana nasza narodowa opieszałość jest przyczyną takiego masowego ubytku Członków—a że każdy, opłacający zaległe należności członkowskie, może być ponownie wpisany na listę członków, więc cyfra tego ubytku prawdopodobnie niebawem zejdzie do *minimum*.

W okresie sprawozdawczym Oddział założył nowych miejsc ochronnych na przestrzeni 6897 dzies., przy

których zamianował 36 stróżów dla ich ochrony. W 1900 r. skasowano 70 miejsc ochronnych, założonych dawniej, a ponieważ pozostałe obejmują 60177 dzies. przeto ogólna przestrzeń miejsc ochronnych w d 1-go stycznia b. r. wynosiła 67074 dzies. czyli około 135,000 morgów, pozostających pod opieką 393 stróżów.

Komisya Rewizyjna w protokóle swoim wyraziła pewną wątpliwość co do autentyczności cyfr, określających przestrzeń miejsc ochronnych w sprawozdaniu Zarządu i podała wniosek o skontrolowaniu tych przestrzeni. Wniosek to nie nowy, bowiem przed rokiem taki sam wniosek postawił na Ogólnem Zepraniu p. St. Dziechciński i Zebranie wyasygnowało nawet 1000 rb. do rozporządzenia Wydziału Ochrony i Polowań, któremu tę sprawę przekazano. Wydział, zastanowiwszy się dokładnie nad sposobem przeprowadzenia kontroli, zrobił co mógł, skasował 70 miejsc, które już nie istnieją, ale szczegółowej kontroli nie rozpoczął, bowiem jest to praca bardzo poważna i skomplikowana, wymagająca organizacyi specyalnego Wydziału, który zajmowałby się stale kontrolą tych miejsc za pośrednictwem specyalnych, a stałych delegatów. Ponieważ sposób sprawdzania miejsc ochronnych, wskazany przez Komisyę Rewizyjną, uznany został za niewykonalny, przeto Ogólne Zebranie w dalszym ciągu przekazało tę sprawę Wydziałowi Ochrony i Polowań.

Oddział wydaje corocznie pewną sumę na nagrody pieniężne lub w zegarkach dla straży ziemskiej, w celu zachęcenia jej do tępienia kłusownictwa. W tym celu przed upływem roku Rada prosi pp. gubernatorów o nadesłanie wykazu odebranej w ciągu roku broni, aby stosunkowo do tych wykazów rozdzielić nagrody. Otóż w 1900 r. nadesłane wykazy obejmują w 8 guberniach (z suwalskiej i kaliskiej wykazy nie nadeszły) 3491 sztuk odebranej różnego rodzaju broni. Na nagrody dla straży ziemskiej wydatkowano w tym czasie 2656 rub. Ogólne Zebranie uznało, że ten wydatek jest jednym z najprodukcyjniejszych i upoważniło Radę do wydatkowania na ten cel nawet więcej, aż do 3,000 rub. o ile zaszłaby tego potrzeba.

Majątek Oddziału w chwili zamknięcia rachunków r. z. wykazał sumę 46803 r.

Budżet na 1901 rok przewiduje wydaki w sumie 33245 rub.

Z kolei przyszedł pod obrady wniosek p. Wacława Paszkowskiego. Wnioskodawca żądał utworzenia corocznych Wystaw wyżłów rasowych w połączeniu z próbami polowemi i postawienia w zależności wydawanie nagród wystawowych od zdolności wykazanych w polu przez kandydata do nagrody. P. Pasz. domagał się też założenia księgi radowodowej dla psów rasowych. Wniosek ten przedstawiony został Ogólnemu Zebraniu z opinią Wydziału Ochrony i Polowań, który uznając konieczność założenia księgi rodowodowej, wypowiedział się jednak przeciwko połączeniu wystaw z próbami polowemi ze względu na różnicę zadań tych dwóch środków podniesienia hodowli psów w kraju. Przytem z powodu bardzo małej ilości wyżłów rasowych w kraju, Wydział uznał wystawy z medalami za przedwczesne, a natomiast proponował utworzenie wystaw z charakterem sprzedażnym i nagrodami pieniężnemi dla piękniejszych okazów, na wzór Wystawy koni, urządzanej przez nasze Towarzystwa wyścigów konnych. Na takich wystawach myśliwi mieliby możność kupić, bądź sprzedać psa myśliwskiego, co wywołałoby niewątpliwie pewne ożywienie i zainteresowanie się hodowlą psów, tak u nas zaniedbaną. Idea ta tembardziej ma szanse powodzenia, że nasze Towarzystwo Wyścigów konnych prawdopodobnie chętnie utworzyłoby na swojej wystawie dział psów, oddając tę sprawą w ręce przedstawicieli naszego Towarzystwa. Ażeby jednak luźnie rzucony projekt opracować w szczegółach, a następnie wprowadzić go w wykonanie i ustawicznie propagować ideę rozwoju hodowli psów rasowych w naszym kraju, Wydział zaproponował utworzenie specyalnego Wydziału, któryby stale pracował w tym kierunku. Ogólne Zebranie projekt przyjęło i postanowiło wprowadzić w życie nowy Wydział, złożony z 5 członków. Od wyboru energicznych, a znających się na rzeczy ludzi do tego Wydziału bardzo wiele zależy.

Na zakończenie wspomnimy tu o sprawozdaniu Wydziału polowań, które wykazuje, że na utrzymanie terenów myśliwskich w Czerniakowie i Osiecku wydatkowano w 1900 r. 3212 rub. Zwierzostan na tych gruntach zaliczyć już można do dobrych, gdyż 3 zimowe polowania dały rezultat 381 zajęcy, czyli o 99 sztuk więcej, jak w 1899 r. Nadto zabito w sezonie myśliwskim: cietrzewi (kogutów) 16, kuropatw 375, dzikich kaczek 5 i kszyków 8.

Rezultaty wyborów do Władz Oddziału są następujące:

Do Rady wybrano większością głosów: hr. Ksawerego Branickiego, hr. Władysława Wielopolskiego, p. Aleksandra Szwedego (wszystkich trzech ponownie) i p. Stanisława Dziechcińskiego.

Do Wydziału Ochrony i Polowań: pp. Jana Sztolemana (ponownie), Stanisława Dziechcińskiego, Józefa Zarembskiego (ponownie) i Aleksandra Patzera.

Do Wydziału Gospodarczego: na przewodniczącego w Wydziale, który jest zarazem Gospodarzem lokalu—p. Władysława Jacobsona.

Wybory Członków Wydziału Gospodarczego odbędą się na Ogólnem Zebraniu, które zwołane zostanie w d. 4 lipca.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 26 czerwca. P. gubernator warszawski nadesłał wykaz broni, odebranej w 1900 r. przez straż ziemską kłusownikom w gub. warszawskiej. Wykaz ten przedstawiał ilość odebranej broni w ogólnej cyfrze 1004 sztuk. Ponieważ Rada wyznacza nagrody dla straży w stosunku do odebranej broni myśliwskiej, gdyż w zakresie działalności naszego Towarzystwa utrudnienie nielegalnego polowania, zaś potajemne utrzymywanie rowelworów, czy białej broni Towarzystwa łowieckiego obchodzić nie może, przeto Rada prosiła o objaśnienie, ile w tym wykazie, było strzelb. Otóż z odpowiedzi p. gubernator okazuje się że strzelb, które mogły służyć do polowanie, odebrano 681 sztuk. Wobec tego Rada asygnawał dla straży ziemskiej gub. warszawskiej, 340 rub.

Z powodu ogłoszonego konkursu wyżłów, który ma się odbyć w d. 31 sierpnia b. r. p. Herman donosi, że obecnie ma 11 psów w robocie, które układa, na konkurs nie będzie mógł jednak przedstawić w tym roku żadnego. Pan H. powodów nie przytacza. Szkoda, że p. H. znany u nas, jako doskonały i zamiłowany dreser, w tegorocznym *field trial'u* nie przyjmie udziału, psy jego bowiem zawsze chętnie były widziane prze sędziów konkursowych.

Drobiazgi Myśliwskie.

Pierwsze młode kuropatwy widziano około 18 czerwca na folwarku Paluch pod Warszawą. Jedno stado liczyło sztuk 10.

Wczesna ruja. Piszą do „Dt. J. Ztg." z Turyngji, że już 28-go maja widziano rogacza, uganiającego za kozą.

Towarzystwo św. Huberta we Lwowie w d. 1 czerwca odbyło swoje roczne walne zebranie. Towarzystwo to liczy 61 członków, a na zadzierżawionych przez nie terenach zabito w ciągu sezonu 1900/1 r. co następuje: Niedźwiedzia 1, jeleni 10, dzików 19, lisów 21, rogaczy 64, zajęcy 371, słonek 109, dubeltów 104, kszyków 652, batalionów 5, kaczek 328, kulonów 5, kulików 57, siewek 9, ibis 1, jarząbków 13, kuropatw 157, przepiórek 189, chruścieli 133, gołębi 32, puhaczów 3, jastrzębi 121, bocianów 21, wron i srok etc. 702, psów 92, kotów 67, kun 2, łasic 7. Ogółem sztuk 3,289.

Piękny to rezultat, imponujący nie tyle ilością zabitej zwierzyny, jak jej rozmaitością.

Klub Diana w Berlinie urządził w Halensee 28, 29 i 30 maja strzelanie do glinianych gołębi. „Dt. J. Ztg."

pisze, że rezultat miał być bardzo dobry, uczestników przybyło dosyć, powietrze było prześliczne, tak, że klub z tego *meetingu* jest bardzo zadowolony.

Z Monachium Ostatnie ciepłe dnie maja, pisze „D. Dt. Jäger" okryły rogacze świeżą, piękną szerścią. Jednakże ta ciepła temperatura i susza przytem spowodowały, że rogacze dopiero po zachodzie słońca wychodziły na żer. To też w początkach czerwca mało ich jeszcze widziano na rynkach w Monachium, ale te, co przywożono wszystkie były w dobrem mięsie, z pięknie wykształconemi i oczemchanemi rogami. Wylęg bażantów i kuropatw obiecuje się być bardzo dobrym. Młodych zajęcy widać też sporo.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Moraczewskiemu. Po powrocie moim do Petersburga, w początku m. sierpnia, będę mógł Szanownemu Panu wskazać źródło, z którego można nabyć wyborne i rasowe polskie ogary. Wiadomość przyślę listownie. *A. S.*

Treść Nr 13 „ŁOWCA POLSKIEGO".

Prenumerata „ŁOWCA POLSKIEGO" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa Nowy Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy:

Smolna 34, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

14

GRETILLAT

Warszawa, Niecała 10.
Najstarsze biuro nauczycielskie poleca: guwernerów, nauczycielki frebłówki, na żądanie sprowadza francuzki, szwajcarki, niemki. 134

Skład Artykułów Specjalnych

KRZYSZTOF BRUN I SYN

Warszawa, Senatorska № 27.

Aparaty gimnastyczne pokojowe WHITCLY.

WELOCYPEDY

pierwszorzędnych zagranicznych fabryk.

WAGI AMERYKAŃSKIE „FAIRBANKS"

różnych wielkości i sił.

MASZYNY DO PISANIA REMINGTONA

uznane za najlepsze w świecie.

LAMPY NAFTOWE „WELS'A"

do oświetlania większych przestrzeni.

Koła transmisyjne drewniane, składane.

Cenniki szczegółowe franco, gratis.

☛ *Leśnicy, gajowi lub strzelcy, obeznani dokładnie ze sposobami układania wyżłów, którzy mogliby za odpowiednią opłatą przyjmować do układania psy pp. Członków Towarzystwa prawidłowego myślistwa zechcą nadesłać swoje oferty, z powołaniem się na poważną rekomendacyę, do Redakcyi „Łowca Polskiego" (Smolna 34).*

Dostawca pięciu dworów Cesarskich i Królewskich

C. M. SCHRÖDER

poleca

Fortepiany i Pianina

w wielkim wyborze, po cenach przystęp., w Składach Fabrycz.

w Warszawie, Nowy Świat Nr 30.
(Numer telefonu 1288). 127

w Łodzi, Piotrkowska Nr 46.

Sprzedaż na raty. Wynajem.

Cenniki illustrowane na żądanie bezpłatnie.



Wielki wybór powozów gotowych

Filipa Loretz

Warszawa, LESZNO 23 (Dom własny).

Egzystuje od roku 1865.

